

Tibor Babiczky

Kamienie przemówiły
The rocks resound
A kövek megszólalnak

Z węgierskiego przełożyła
Anna Butrym

Translated from the Hungarian
by Peter Sherwood



VERSOPOLIS

Kamienie przemówiły
The rocks resound
A kövek megszólalnak

Tibor Babiczky

Kamienie przemówiły
The rocks resound
A kövek megszólalnak

Z węgierskiego przełożyła
Anna Butrym

Translated from the Hungarian
by Peter Sherwood

Instytut Kultury Miejskiej
Gdańsk 2021

Źródło

Ledwie widoczny drugi brzeg. Opalizujący budynek
przystani promowej między drzewami.
Rampa. Pusta zatoka. Na niebie
chmura burzowa w kształcie słonia.
Po wodzie, pod prąd
płyną dwie szczepione barki.

Błede światło lśni w maszynowni.
Na mostku zamarły mrok.
Świat leży niczym
wysypane kruszywo. Ociężałe
towarowce brną w górę rzeki.
Wzbiera fala, gdy są daleko,

już za ostatnim mostem.
Ale do początku nie da się dotrzeć.
Wąż opuszcza swoje gniazdo,
by znaleźć nowe. Gdzieś tam, w pobliżu źródła,
statki zrzucają balast ładunku. Kamienie
przemówiły. Grzmi.

Linia życia

Szare światło przelewa się przez przednią szybę.
W miejscu, gdzie biegnie wstążka drogi, rozbłyskuje
obraz dawnej ścieżki. Idzie zima.

Siedzisz z tyłu, po stronie kierowcy.
Delikatny ucisk czarnych pasów
na linii serca i bioder.

Przez niebo, w poszukiwaniu pożywienia,
ciągnie wychudzone stado chmur.
Możesz spojrzeć gdzie indziej. Zaobserwować,

jak drzewa mkną jedno za drugim.
Słowa o niepewnym znaczeniu.
Kryjące się za nimi uczucie też jest niepewne.

Drzewa stoją nieruchomo, a auto
mknie z tobą. Choć, patrząc z góry,
to też tylko przypuszczenie. Ewentualność.

Jak wtedy, gdy mówisz: „Kocham cię”.
Albo: „Boję się przemijania”. Zapięty pasami
pod pustym niebem. Gdzieś indziej.

Fotka z plaży

Trzeba by znaleźć jakiś prosty
i zrozumiały portret dzieciństwa.
Fotka z plaży, wszyscy uśmiechnięci.
W tle wapienne klify, z wąskim paskiem

morza. Widać, że droga trochę zajęła.
Wysłużone auto, wiele pomyłonych zjazdów.
Znać to po twarzach. Wszyscy się
uśmiechają. Trasa była długa, a zdjęcie –

stary wóz, kiepska nawierzchnia – trzeba zrobić
akurat teraz. I przejechaliśmy miejsce,
w którym należało skręcić. Droga wiedzie właśnie tam,
dokąd zmierzamy. Za nami przeoczony, a tak

oczekiwany zjazd. „Tato, tu miało być w prawo”.
Wszyscy się uśmiechają. Maski auta
wypluwa z siebie skwar. Na jutro zapowiadają
pogorszenie pogody. „Sami sobie skręcajcie”.

Na ziemiach olbrzymów

Chciałbym, żebyś się rozpogodziła.
Chciałbym zdjąć z twoich ramion
ciężar i nieść go do śmierci,
żebyś była dumna.

Chciałbym stać się kimś.
I moje serce bije. Żyję. „Podejrzany typ”,
powiedziałaś. Nauczyłem się, nie było
łatwo pokochać.

I śmierć – twoja śmierć – wciąż
staje mi przed oczami, gdy leżę, w snach.
Odprowadzam cię w tej ostatniej drodze,
a dla mnie to tylko jedna z dróg,

to wszystko tylko tak zwana ścieżka
zdrowia. Kamyki trzeszczą pod
moimi stopami, wszystko trzeszczy, gdy żyjesz.
To jest rozdarty

las, a to rozpadnięty dom.
Zawaliły się wszystkie pokoje, pozostał szkielet,
choć zrujnowany, to wciąż stoi.
„Idę do domu”.

Kruczy czas

Chrońcie mnie, dwa ptaki mroku:
myśli i pamięci,
bo nie ma na świecie
rozgrzeszenia.
Wszystko odchodzi,
jak przyszło.

Zmarnotrawiłem czterdzieści
lat, ani myśli, ani pamięci.
Czterdzieści pieprzonych lat!
W tym czasie
myślałem o śmierci,
choć odpycha mnie nieistnienie.

I minęła młodość,
przepadły kolejne lata.
Po czterdziestce trudno jest
nauczyć się żyć,
słuchać, odzywać, chodzić.
Nie interesuje mnie śmierć.

Potykam się, jak paralytyk,
którego nogi wezwały do chodzenia.
Macam: to jest gładkie,
a to szorstkie.
Jestem. I wywracam siebie
na drugą stronę jak pacynkę.

Powinienem żyć wstecz, bo
w przód nie idzie wytrzymać.

Nie odpoczywać,
nie czekać znów
na kolejny zwrot.
Nie nabierać sił.

Stąpać do końca drogą słabymi,
niezdarnymi krokami.
Nie czekać na wzajemność,
tylko kochać,
iść wśród drzew, i w końcu
zniknąć w gęstwinie, można by rzec.

Knajpa Fauna

Za wszystko trzeba zapłacić, pomyślałem,
kiedy siedzieliśmy
pod niemożliwie żółtym parasolem,
na nic nie czekaliśmy,
tylko siedzieliśmy, było piękne

i przyjemne późne popołudnie, nie licząc tego, że
za wszystko trzeba zapłacić, i przyszło mi na myśl:
czas się poruszał,
a światło było nieruchome,
pełne, nawet jeśli złamane,

postawiono pełną szklankę w miejsce pustej,
przyniesiono koc, kiedy nadszedł
zierzch. Uspokaja
wiedza, ile co kosztuje, jeśli już
za wszystko trzeba zapłacić,

za wino tyle samo, co za zierzch,
pod niemożliwie żółtym parasolem
wszystko policzą.
A jeśli nie spodobał ci się ten spokój,
najwyżej nie zostawisz napiwku.

Planet Caravan

Siedzieć na tarasie, w brzęku lata,
i nie myśleć o tobie, tylko przyjmować
z wdzięcznością chłodny dotyk,
który zwiastuje nadchodzący wieczór.

W każdym pomieszczeniu pali się
samotna lampa podłogowa, a uchylone
drzwi, ściany, stare zdjęcia przyoblekają się
w złoto. Świat nie mógłby być

ciemniejszy. I brakuje energii,
by zapalić we mnie światło, są tylko
samotność i bezradność, które

z wdzięcznością przyjmują chłodny dotyk,
noc. Kiedy zapada, myślę o tobie.
Sama musisz sobie poświecić, by trafić do domu.

Efekt uboczny

Siedzieliśmy na szczycie, ponad rzeką,
patrzyliśmy, jak cienie
spowijają dolinę.
Woda wydychała gęstą parę,
jakby marzła.

Potem patrzyłem już tylko na ciebie.
I byłem szczęśliwy, że cię widzę.
Kontury całkowicie pochłonęła
ciemność. Przed nami zasłona
złudzenia, za nami przeczuwalne

mury. A w pachnącym dymem wietrze –
niedorzeczne w nocy ogniska
straży – nasze rysy,
rozpadające się niczym popiół
pod rozżarzonymi gwiazdami.

Narodziny Wenus

O zmierzchu, gdy ciemność kosmosu
powoli przesącza się do atmosfery
i przywarłe do ziemi niebo
tworzy bąbel – ze zgorzelowych chmur
spływa ropa – trzeba się nauczyć

tracącego barwy świata. Wzrok został
nam pożyczony. Ale nawet jeśli cię
nie widzę, twoja twarz jest w głębi mnie samego.
Nie przeraża mnie ciemność, bo noc
to twoje opadające włosy. Wiatr gładzi

wrośnięte w wiatr zboże. I cichnie.
I gdziekolwiek będę, do domu zaprowadzi mnie
podwójna Gwiazda Wieczorna twoich oczu.

Dzień narodzin

Była noc. Ciemność. Wszędzie bydlęta.
Wśród czworonożnych spoczywali licznie dwunożni.
Pragnęli zasnąć. Trawić. Nawet nie zauważyli,
Że na zewnątrz gwiazdy roją się niczym ćmy wkoło płomienia.
Inni mówili, że płonęła tylko jedna gwiazda,
A światło ześliznęło się po nocy
Jak perła z zerwanego naszyjnika.

I ta gwiazda głosiła wówczas, podobno:
Narodził się Syn Boży. Akurat o zmierzchu.
Ja widzę tylko jednego noworodka, w prześladowanej,
Biednej i wygnanej rodzinie,
Widzę też strach, ubóstwo i cuchnące moczem
Łachmany w łóżku.

Nie słychać niebiańskich głosów,
Tylko krowie dzwonki i lamentowanie.
Wszyscy śpią. I tak już będzie.
Być może ty też śpisz.

Przesilenie zimowe. Najdłuższa noc.
Siedzieli w stajni. Płynęła krew. Nie było powrotu do domu.
A na świat przyszedł człowiek. Chyba o zmroku.
I zapłakał. I był przerażony, i głodny. I ułożył się u boku matki.

Nie wiem, czy Bóg istnieje, a jeśli tak, to czy miał syna.
Ale są narodziny. I światło. A ciemność musi przeminąć.

Widokówka z Apulii

Jestem drzewem – ty każdą z moich gałęzi.
Z pnem nikt inny nie może się złączyć.
Jestem miastem pogrążonym w nocy,
a ty światłem, w które się odziało.

Bez ciebie nie wydam owoców.
Przywdziewam kwitnące oblicze
letnich dni o gęstych płatkach.
Domy błyszczą od rozrzedzonej piany.

Miasto istnieje dlatego, że w nim żyjesz,
owoce dojrzewają, śmierci nie ma.
I nic nie mówię, i ty nic nie mówisz.
Spoczywamy po drugiej stronie dźwięku.

Znak

Patrzyliśmy na księżyc. Byłaś zmęczona.
Szukaliśmy konstelacji.
Nie znaleźliśmy. Kilka wymyśliliśmy.
„Jak przyjdiesz, wyjdę do ciebie”.

I przyszłaś. Trzeszczenie w drzewach,
oddychanie, kiedy wieje wiatr.
Chciałbym ci towarzyszyć,
póki biegnie przed tobą droga.

W kościach trzeszczenie drzew,
oddech, gdy wiatr się zrywa,
w tobie zobaczyłem niebiańskie
odbicie życia. I idziesz, i idę.
I podążam wraz z tobą.

Południe

Kiedy otwierasz oczy,
ranek przechodzi w południe,
wlewa się rozproszony blask, a cień snu,
niczym tani makijaż, rozmazuje się
na twojej kości jarzmowej,

ja leżę nieruchomo,
nie widzę w tym
rzadko tkanym, osieroconym
świetle niczego poza tobą, i
wiem, że nie ma w nas śmierci.

Osobliwość

Kiedy ten, którym jesteś,
zjawia się w pełnej zbroi,
a w rytm jego kroków zapada się,
jeden po drugim, szyb podświadomości,
każda mądrość się wycofuje.

Widzisz swój dawny pokój.
I wszystko, co kochałeś, rozsiewa
dziwne światło, jakby to wspomnienie
należało do kogoś innego.

Ale nawet ból nie jest twój.
Kto inny śpi w tym pokoju.
Drzewa obsiadły sępy
o połyskujących złotem piórach.

Majestatyczni, niemi padlinożercy
obserwują niemy dom.
W każdym oknie noc.
Ich skrzydła są nieporuszone.

W końcu każde wspomnienie
pęka i rozpada się na kawałki.
Osamotniony odłamek nawołuje
tysiące martwych braci.

Z zewnątrz i wewnątrz to jedna przestrzeń,
tak powstaje siedlisko sępów.
Lot potężnych ptaków
wiedzie ku wielkiej wodzie.

Kolorowe kółka parasoli
na brzegu. Pod powieką,
niczym ulewa, która uderza o wodę,
trzaskają barwne obręcze.

W piasku błyszczą liczne
okruchy szkła, wygładzone falami.
Żaden nie jest ostry. Nie da się
ich już poskładać.

TIBOR BABICZKY

(ur. w 1980 r. w Székesfehérvárze) uczył się w Kolegium Kalwińskim w Pápie i na Wydziale Nauk Humanistycznych Katolickiego Uniwersytetu Pétera Pázmánya. Pracował jako analityk mediów, dziennikarz dziennika „Magyar Nemzet” i węgierskiego radia publicznego, redaktor Libri, jednego z największych węgierskich wydawców książek. W Cyfrowej Akademii Literatury pracuje od zeszłego roku. Opublikował sześć tomów wierszy oraz jedną powieść. Jego utwory ukazują się w najważniejszych węgierskich magazynach literackich. Do tej pory pięciokrotnie pojawiał się w antologii *Szép Versek* [Ładne wiersze], prezentującej to, co najlepsze w poezji węgierskiej. Tłumaczony na angielski, francuski, czeski, słowacki, polski, chorwacki i grecki. Jest laureatem nagrody Prima Primiissima Junior Prize, nagrody Litera oraz stypendium literackiego Międzynarodowego Funduszu Wyszehradzkiego. Píše również teksty piosenek i współpracuje z wieloma znanymi węgierskimi muzykami. Mieszka w Budapeszcie.

ANNA BUTRYM

(ur. w 1985 r. w Przemyślu) – absolwentka filologii węgierskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz studiów podyplomowych w Budapeszcie z zakresu tłumaczeń literackich. Wielokrotna stypendystka oraz laureatka konkursów translatorskich, w 2016 r. otrzymała nagrodę dla najlepszego tłumacza 8. edycji Festiwalu Conrada. Przekłada utwory prozatorskie, poetyckie, dramatyczne i okołoliterackie, prowadzi spotkania autorskie oraz wykłady poświęcone Węgrom i ich kulturze, pisze o literaturze tego kraju. Autorka m.in. przekładu *Tureckiego lustra* Viktora Horvátha, które w 2012 r. zdobyło Europejską Nagrodę Literacką. W jej tłumaczeniu ukazały się również *Dom kata* Andrei Tompy, *Linie kodu kreskowego* Krisztiny Tóth oraz wielu innych tekstów, publikowanych w periodykach literackich. Stale współpracuje z Węgierskim

Instytutem Kultury w Warszawie, bierze udział w międzynarodowych projektach literackich i tworzy autorski videoblog kulturalny „Węgierska randka”. Zajmuje się tłumaczeniami ustnymi i pisemnymi, konferansjerką i działalnością sceniczno-medialną. Członkini i była sekretarz zarządu Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury. Swój dorobek prezentuje na: www.annabutrym.pl.

Tibor Babiczky

The rocks resound

Translated from the Hungarian
by Peter Sherwood

Headwaters

The far shore barely visible. Amidst the trees
lining the shore, the opalescent building of the port.
The slipway. The empty bay. An elephant-
shaped stormcloud in the sky.
Two hooked-up barges on the water
making their way upstream.

In the engine room a glint of light.
In the pilot booth a lifeless murk.
Like tipped-out crushed stone
the world lies outspread. The freighters
sluggishly lumber upstream.
The water makes waves once they are afar,

beyond even the final bridge.
But there is no approaching the source.
The snake abandons its nest and finds
another. And somewhere near the headwaters
the boats shed their cargo.
The rocks resound. Thunder.

Lifeline

Grey light teems down through the windshield.
Where the road's ribbon winds, the trace
of an ancient footpath gleams. Winter's coming.

You're in the back seat, on the driver's
side. The black seatbelts press discreetly
along the line of heart and hip.

Across the sky, seeking fodder,
passes a herd of clouds, all skin and bone.
There is elsewhere to look, too. You can watch

as the trees glide past, one after the other.
Words of uncertain meaning.
The feeling behind them, too: uncertain.

The trees are motionless, and the car
glides by with you. Seen from higher up
though, this too is just a surmise. A contingency.

Just as when you say: "I love you."
Or: "I'm afraid of oblivion." Strapped in
under the empty sky. Somewhere else.

Seaside Snap

One should try to find some simple and
straightforward image for childhood.
A seaside snap, everyone all smiles.
Limestone cliffs as the backdrop,

with a thin strip of sea visible. Clearly,
it was a long journey. Old car, many wrong turns.
It shows on the faces. Everyone
all smiles. It took a long time and now.

the picture – jalopy, potholed roads – must
be taken. And when we should have turned off,
we drove on. Whichever way we're going,
that's our route. Behind us now the turn we failed

but expected to take. "Dad, should've gone right,
here." Everyone all smiles. Heat hisses from the bonnet.
Bad weather forecast for tomorrow.
"Let him who says so make the turn."

In the Land of Giants

I'd have liked you to be comforted.
I'd have liked to lift the burden from
your shoulders and carry it until I died,
so you could be proud.

I'd have liked to become somebody.
And my heart beats. I'm alive. "Dubious
character", you would say. I learned –
it wasn't easy – to love.

And even so death – your death – keeps
haunting me, when I am lying down,
in my dreams. Going with you on your
final journey: just a stroll for me,

only what they call a constitutional,
that's all. Pebbles scrunch beneath
my feet, everything's the crunch when you
are alive. Here's a forest

broken in two, and here a house cleft in twain.
The rooms have all caved in, yet though a ruin,
the fabric remains, still stands.
"I'll be off home now."

Raventime

Protect me, two birds of the dark,
thought and memory,
because there is in the world
no absolution.
Everything departs
the way it arrived.

I've squandered forty years,
neither thought nor memory.
Forty lousy years!
And meanwhile
I've thought of death,
though non-being repels me.

And so youth passed,
then the rest, years gone by.
It's hard, learning to live,
to be silent, to speak,
to take one's steps at forty.
Death does not interest me.

I stumble around, like the lame
whose legs have invited them to take a walk.
I have a feel: this is smooth, but
that is rough.
I am. And I turn myself
inside out, like a puppet.

I should live backwards, because
forwards it is not tolerable.

To not take a rest, not
await, once more,
another turnaround.
Being unable to gain strength.

To walk the length of the road,
weakly, with stumbling steps.
Not to expect anything in return,
just to love,
to walk among the trees, and finally
disappear into the dense forest,
so to speak.

Pan's Pub

Everything must be paid for, I reflected,
as we sat beneath
an impossibly yellow sunshade,
not waiting for anything in particular,
we just sat, it was a pleasant and enjoyable

late afternoon, aside from the fact that
everything must be paid for, and it occurred to me
that time had its motion
and light was immobile
in its fullness, even if it was broken,

empty glasses were topped up,
rugs were brought when the sun set.
It's reassuring to know
the cost of each item,
given that everything must be paid for,

the wine just as much as the sunset,
under the impossibly yellow sunshade
everything is put on the slate.
And if this peace does not please,
well, you are free not to leave a tip.

Planet Caravan

Sitting on a terrace, the hum of summer,
and not thinking of you, just being glad
to accept gratefully the cool touch
that signals the approach of evening.

A lonely floor-lamp in every
room, the doors, slightly ajar, and
the walls with their olden pictures
are decked in gold. The world

could not be darker. And no energy's left
to strike a light in me, just
loneliness and helplessness which

is grateful for the cool touch
that is the night. When it falls, I think of you.
You have to light your own way home.

Side Effect

We sat atop the mountain, above the river,
we watched how the valley
was taken over by shadows.
The water exhaled a thick mist,
as if it were cold.

After that I watched only you.
And I was happy that I could see you.
All the contours were devoured
by the dark. Before us the mirage's
curtain, behind us presumably,

walls. And in the smoke-scented wind –
incomprehensible watchfires
of the night – our features
disintegrated, just like ash
beneath the flickering embers of the stars.

The Birth of Venus

As dusk falls and the darkness of outer space
slowly filters through into the atmosphere,
and the sky charred into
the earth grows a blister
– pus burst forth from the gangrenous clouds –

we must study a world that is losing its colour.
Our vision is on loan to us. But even if I don't see you,
your face is here, in my innermost being.
The darkness frightens me none,
because the cascade of your hair
is the night. The wind caresses

the corn sown upon the wind, and dies away.
And wherever I happen to be, your eyes'
twin Morning Stars will guide my way home.

The Birth Day

It was night. Dark. Beasts everywhere.
Among those with four-legs lay many with two.
They longed to sleep. To digest. They did not notice
The stars swarming outside, like moths around a flame.
Others say only a single star blazed,
And like a pearl from a broken necklace
The light sloughed off from the night.

And what this star supposedly proclaimed:
The Son of God is born. And precisely as dusk fell.
I see only a newborn, hounded and poor,
In a family that has been cast out,
And I see fear, and misery, and rags
In the bed smelling of urine.

No heavenly noises resound.
Only cattle-bells and wailing.
Everyone's asleep. And so this remains.
Perhaps you are sleeping, too.

Winter solstice. The longest night.
They sat in a stables. Blood flowed. No way home.
And a human came into the world. It was dusk, perhaps.
And he cried out, started awake, was hungry, and curled up by
his mother's side.

I don't know if there's a God and, if there is, whether he had a son.
But birth there is for sure. And light. The darkness must pass on.

Postcard from Puglia

A tree am I – you are my every branch.
With my trunk none other can merge.
I am a town amidst the night,
and you the mantle on the town: its light.

Without you fruit I cannot bear.
I don the blossoming face
of summer mornings' thick petals.
The houses gleam as a thin froth settles.

That you live in it: that's why the town
is, fruits ripen, death has no dominion.
And I do not speak, and you do not speak.
On sound's far side the rest we seek.

Mark

We looked at the moon. You were tired.
We looked for constellations.
We found none. We invented some.
“If you come, I'll meet you.”

And you came. Cracking in the trees,
to breathe when the wind blows.
I would like to go with you wherever
the road takes you.

In bones the trees' cracking,
breathing when the wind's up,
in you I saw life's heavenly
reflection. And you take a step,
and I take one too. And I go with you.

Noon

Just as your eyes open,
morning turns to noon,
the scattered light teems down and like cheap
make-up the shadow of sleep
is smeared across your cheekbones,

I lie motionless,
seeing nothing in this
loosely woven, threadbare
effulgence but you, and I know
that there is no death within us.

Singularity

When you step forth as
yourself, in full armour,
with each step making
the caverns of the subconscious
collapse, and all wisdom shrinks back.

You see your room of old.
And everything you loved
radiates a strange light,
as if the memory were another's.

But the pain is not yours either.
In your old room someone else is sleeping.
Vultures with golden-horse feathers
have settled on the trees.

Majestic, silent scavengers,
they watch the silent house.
In every window: night.
The wings do not stir.

In the end every memory
shatters and falls to pieces.
Each lonely sliver calls out
to its thousand dead siblings.

Of outside and inside a single space,
thus the vultures' home is made.
The flight of enormous birds
leads to the vast waters.

Sunshades' colourful rings
on the shore. Under the eyelids,
like a shower falling on the water,
the patter of colourful circles.

In the sand glitter the many
glass shards polished by the water.
Not one is sharp. Never again
can they be reassembled.

TIBOR BABICZKY

was born in 1980 in Székesfehérvár and currently lives in Budapest. He studied at the Reformed Church School of Pápa and at the Faculty of Humanities of Pázmány Péter Catholic University. He has worked as a media analyst, journalist for the daily newspaper Magyar Nemzet, host of the Hungarian public service radio, and editor of Libri, one of the largest Hungarian book publishers. He has been working at the Digital Literature Academy since last year. His first volume was published in 1999 and his most recent in 2018. He has written a total of six volumes of poetry and one novel. During his career, he has published in the most important Hungarian literary magazines and periodicals, including Holmi, Élet és Irodalom, Vigilia, Beszélő, Mozgó Világ, Hévíz and Tempevölgy. So far, he has appeared five times in the anthology Szép Versek, presenting the best of Hungarian poetry. His poems have previously been published in English, French, Czech, Slovak, Polish, Croatian and Greek translations. He is a Prima Primiissima Junior Prize winner, has also been awarded the Litera Prize and won a literary scholarship from the International Visegrad Fund. In addition to poetry, he also writes lyrics and has collaborated with many well-known Hungarian musicians.

PETER SHERWOOD

Peter Sherwood taught at universities in Great Britain and the United States of America for 42 years, retiring from the University of North Carolina at Chapel Hill in 2014 as László Birinyi, Sr., Distinguished Professor Emeritus of Hungarian Language and Culture. He has published an introduction to Hungarian grammar, co-edited two Hungarian-English/English-Hungarian dictionaries, and written more than a hundred studies, articles and reviews. He was awarded the Hungarian Republic's Pro Cultura Hungarica Prize in 2001, the Officer's Cross of the Order of

Merit of the Hungarian Republic in 2007, the János Lotz medal of the International Association for Hungarian Studies in 2011, the László Országh Prize of the Hungarian Society for the Study of English in 2016, and the Árpád Tóth Prize for Translation in 2020. He has been translating from Hungarian into English for more than half a century, from a wide range of genres, including poetry by Bálint Balassi, Attila József, János Pilinszky, and Krisztina Tóth, and prose by Miklós Vámos (*The Book of Fathers*, 2006), Noémi Szécsi (*The Finno-Ugrian Vampire*, 2012), Béla Hamvas (*Trees*, 2006, *The Philosophy of Wine*, 2016), Antal Szerb (*Reflections in the Library*, 2016), Margit Beke Görög (*Our Story is History, 1915–1944*, 2017), and Ádám Bodor (*The Birds of Verhovina*, due 2021).

Tibor Babiczky

A kövek megszólalnak

Forrásvidék

Alig látszik a túlsó part. A vízparti fák
közt a kompikötő gyöngyház épülete.
A rámpa. Az üres öböl. Elefánt
formájú viharfelhő az égen.
A víz színén, szemben a folyásiránnyal,
két összekapcsolt uszály halad.

A gépházban halvány fény ragyog.
Az irányítófülkében élettelen homály.
Mint kiborított közúzalék,
hever a világ. Evickélnek a lomha
teherhajók a folyón fölfelé.
Hullámot vet a víz, mikor már messze

járnak, túl az utolsó hídon is.
De az eredet nem megközelíthető.
A kígyó elhagyja fészket, és új
fészkekre tér. És valahol a forrásvidéken
a hajók lerakják terhüket. A kövek
megszólalnak. Mennydörög.

Életvonal

Szürke fény zuhog át a szélvédőn.
Az út szalagja helyén egy régi ösvény
képe felragyog. Tél jön.

A hátsó ülésen ülsz, a vezető felőli
oldalán. Fekete szíjak tapintatos
szorítása a szív és a csípő vonalán.

Az égen, táplálékot keresve,
lesoványodott felhőcsorda vonul át.
Nézhetsz másmerre is. Figyelheted,

ahogy sorban elsuhannak a fák.
Bizonytalan értelmű szavak.
És mögöttük az érzet is bizonytalan.

Egyhelyben állnak a fák, és az autó
suhan veled. Bár föntebből nézve
ez is csak egy feltevés. Esetleges.

Mint amikor azt mondod: „Szeretlek.”
Vagy azt: „Félek az elmúlástól.” Beszízva
az üres ég alá. Valahol máshol.

Strandfotó

Valami egyszerű és könnyen érthető
képet kéne találni a gyerekkorra.
Strandfotót, amelyen mindenki mosolyog.
A háttérben mészkőfalak, és egy vékony

sávban látszik a tenger. Látszik, hogy hosszú
volt az út. Régi jármű, sok eltévesztett
lehajtó. Látszik az arcokon. Mindenki
mosolyog. Hosszú menet volt, és a képet –

régi kocsit, járhatatlan út – most el kell
készíteni. És ahol fordulni kellett
volna, továbbhajtottunk. Amerre megyünk,
az az út. Mögöttünk a kihagyott, de várt

fordulat. „Apa, itt kellett volna jobbra.”
Mindenki mosolyog. Hőséget okád ki
magából a motorháztető. Holnapra
rossz időt mondtak. „Forduljon, aki mondja.”

i que algú se l'ha inventada,
la Fúria Esgarriacries,
com també algú va inventar-se
la Fraternitat.

Az óriások földjén

Szerettem volna, hogy megvigasztalódj.
Szerettem volna átvenni vállaidról
a terhet, és vinni halálig,
hogyan büszke légy.

Szerettem volna válni valakivé.
És ver a szívem. Élek. „Kétes alak”,
mondanád. Megtanultam, nem volt
könnyű, szeretni.

És a halál – halálod – így is folyton
elém kerül, ha fekszem, álmaimban.
Kísérlek végső utadra, és
nekem csak egy út,

csak egy úgynevezett egészségügyi
séta az egész. Kavics roppan léptem
alatt, megroppan minden, ha élsz.
Ez egy kettétört

erdő, ez pedig egy kettéhasadt ház.
Beomlott minden szoba, és megmaradt,
romként bár, de áll, a szerkezet.
„Indulok haza.”

Hollóidő

Óvj meg, két sötét madár,
gondolat és emlékezet,
mert a világban nincs
feloldozás.
Úgy távozik minden
ahogy érkezett.

Eltékoztam negyven
évet, se gondolat, se emlék.
Negyven rohadt év!
És közben a
halálra gondoltam,
pedig taszít a nemlét.

És eltelt az ifjúkor,
majd a többi, évek el.
Nehéz megtanulni élni,
hallgatni, szólni,
lépni negyvenévesen.
A halál nem érdekel.

Botorkálok, mint a béna,
kit a lába lépni hívott.
Tapintok: ez sima, ez
pedig érdes.
Vagyok. S magamat
mint egy bábót, kifordítom.

Éljek visszafelé, mert
nem lehet kibírni előre.

Nem pihenni meg, nem
várni újból
egy másik megfordulást.
Nem kapni erőre.

Béna léptekkel, gyengén
sétálni végig az úton.
Nem várni viszonzást,
csak szeretni,
menni a fák közt, s végül
eltűnni a sűrűben, úgymond.

Pán kocsmája

Mindenért fizetni kell, gondoltam,
miközben ültünk
egy lehetetlensárga napernyő alatt,
nem váraoztunk semmire,
csak ültünk, szép és élvezhető

késő délután volt, leszámítva, hogy
mindenért fizetni kell, és ez eszembe jutott,
mozgása volt az időnek
és mozdulatlansága a fénynek,
teljessége, még ha törött is,

üres poharat telire cseréltek,
plédet hoztak, mikor jött
az alkonyat. Megnyugtató
tudni, mi mennyibe kerül, ha már
mindenért fizetni kell,

a borért éppúgy, mint az alkonyatért,
a lehetetlensárga napernyő alatt
mindent felszámítanak.
És ha nem tetszett ez a béke,
legfeljebb nem hagysz borralalót.

Planet Caravan

Ülni egy teraszon, zsong a nyár,
és nem gondolni rád, csak fogadni
hálásan a hűvös érintést,
mely az este közeledtét jelzi.

Minden szobában magányos
állólámpa ég, aranyba öltöznek
a résnyire nyitott ajtók, a falak,
a régi képek. A világ nem lehet

sötétebb. És nincs energia,
bennem fényt gyújtani, csak
magány és tehetetlenség, ami

hálásan fogadja a hűvös érintést,
az éjszakát. Amikor leszáll, rád gondolok.
Magadnak kell világítanod, hogy hazatalálj.

Kísérőjelenség

A hegytetőn ültünk, a folyó felett,
néztük, a völgyet hogyan
foglalják el az árnyak.
Sűrű párát lélegzett a víz,
mintha fázna.

Azután már csak téged néztelek.
És boldog voltam, hogy látlak.
A kontúrokat felfalta mind
a sötétség. Előttünk a káprázat
függőnye, mögöttünk sejthető

falak. És a füstszagú szélben –
értelmetlen őrtüzek
az éjszakában – szétestek
arcvonásaink, akár a hamu,
a felparázsló csillagok alatt.

Vénusz születése

Alkonyat tájt, amikor az űr sötétje
a légkörbe lassan átszivárog,
és hólyagot növeszt – üszkös
felhőkből genny fakad – a földre
ráégett ég, tanulni kell

a színeit vesztő világot. Kölcsönbe
kaptuk a látást. De ha nem
látlak is, az arcod itt van legbelül.
Nem rémiszt a sötét, mert leomló
hajad az éjszaka. A szél a szélbe nőtt

gabonát simogatja. És elül.
És legyenek bárhol, elvezet haza
szemed kettős esthajnalcsillaga.

A születésnap

Éjszaka volt. Sötét. Barmok mindenütt.
A négy lábúak közt sok kétlábú feküdt.
Aludni vágytak. Emészteni. Észre se vették,
Hogy kint csillagok rajzanak, mint tűz körül a lepkék.
Mások úgy mondják, csak egyetlen csillag lángolt,
S mint elszakadt nyakláncról a gyöngy,
Levált a fény az éjszakáról.

És ez a csillag azt hirdette – állítólag – akkor:
Megszületett Isten Fia. És éppen alkonyatkor.
Én csak egy újszülöttet látok, üldözött és szegény,
Kitaszított családban,
Meg félelmet látok, meg nyomort meg hűgyszagú
Rongyokat az ágyban.

Nem szólnak égi hangzatok,
Csak tehénkolomp és jajszó.
Mindenki alszik. Ez így marad.
Lehet, hogy te is alszol.

Téli napforduló. A leghosszabb éjszaka.
Ültek egy pajtában. Vér folyt. Nincsen út haza.
És világra jött egy ember. Alkonyat volt talán.
És felsírt. És riadt volt, és éhes. És elnyúlt az anyja oldalán.

Nem tudom, van-e Isten, s ha van, volt-e fia.
De születés van. És fény van. A sötétnek el kell múlnia.

Pugliai anziksz

Fa vagyok – te vagy minden ágam.
Törzsemmel nem folyhat egybe más.
Város vagyok az éjszakában,
s te fény, a városon palást.

Nélküled nem lehet gyümölcsöm.
Vastag szirmú, nyári nappalok
virágzó arcát magamra öltöm.
A házakon híg tajték ragyog.

Azért van város, mert benne élsz,
gyümölcsök érnek, nincs halál.
És nem beszélek, és nem beszélsz.
Fekszünk a hang túloldalán.

Jegy

A holdat néztük. Fáradt voltál.
Kerestünk csillagképeket.
Nem láttunk. Kitaláltunk párat.
“Ha megjössz, eléd megyek.”

És megjöttél. Fákban roppanás,
lélegezni, a szél ha fúj.
Szeretnélek elkísérni végig,
míg fut előtted az út.

Csontokban a fák roppanását,
ha szél támad, a lélegzetet,
benned megláttam az élet
égi mását. És lépsz, és lépek.
És megyek veled.

Dél

Ahogy felnyílik két szemed,
fordul a reggel délbe át,
szórt fény zuhog, s mint ócska smink
az álom árnyéka járom-
csontodon szétkenődik épp,

én fekszem mozdulatlanul,
semmi mást nem látok ebben
a ritka szövésű, árva
ragyogásban, csak téged, és
tudom, hogy nincs bennünk halál.

Szingularitás

Mikor teljes vértezetben
előlép, aki vagy,
és lépte alatt sorra beomlanak
a tudatalatti tárnák,
minden bölcsesség meghátrál.

Látod a régi szobádat.
És minden, amit szerettél,
furcsa fényt áraszt magából,
mintha másé volna az emlék.

De a fájdalom sem tiéd.
Más alszik régi szobádban.
Aranyló tollú keselyűk
telepedtek a fákra.

Fenséges, néma dögevők,
nézik a néma házat.
Minden ablakban éjszaka.
Nem mozdulnak a szárnyak.

Megreped, s darabokra hull
mindegyik emlék a végén.
Árva szilánk szolongatja
ezer halott testvérét.

Kintből és bentből egy tér,
keselyűk otthona így lesz.
Hatalmas madarak röpte
vezet az óriási vízhez.

Ernyők színes karikái
a parton. Szemháj mögött,
mint zápor, mely a vízre hull,
pattognak színes körök.

A homokban csillog a sok
vízcsiszolta üvegszilánk.
Egyik sem éles. Nem lehet
többé összerakni már.

TIBOR BABICZKY

1980-ban született, Székesfehérváron. Budapesten él. Dolgozott újságíróként, rádiós műsorvezetőként, valamint felelős szerkesztőként a Libri Kiadónál. Versei megjelentek angolul, csehül, franciául, görögül, horvátul és lengyelül. Eddig hét verseskötete és egy regénye jelent meg. Legutóbbi kötete a Szapphó-paradigma, amely 2021 májusában került a könyvesboltokba.

OD WYDAWCY

Niniejszy wybór zawiera niepublikowane dotąd wiersze:

Źródło 5 Headwaters 25 Forrásvidék 45

Linia życia 6 Lifeline 26 Életvonal 46

Fotka z plaży 7 Seaside Snap 27 Strandfotó 47

Na ziemiach olbrzymów 8 In the Land of Giants 28 Az óriások földjén 48

Kruczy czas 9 Raventime 29 Hollóidő 49

Knajpa Fauna 11 Pan's Pub 31 Pán kocsmája 51

Planet Caravan 12 Planet Caravan 32 Planet Caravan 52

Efekt uboczny 13 Side Effect 33 Kísérőjelenség 53

Narodziny Wenus 14 The Birth of Venus 34 Vénusz születése 54

Dzień narodzin 15 The Birth Day 35 A születésnap 55

Widokówka z Apulii 16 Postcard from Puglia 36 Pugliai
anizisz 56

Znak 17 Mark 37 Jegy 57

Południe 18 Noon 38 Dél 58

Osobliwość 19 Singularity 39 Szingularitás 59

SERIA: Versopolis

KOORDYNACJA: Piotr Mielcarek

REDAKCJA I KOREKTA: Tadeusz Dąbrowski

PROJEKT OKŁADKI, PROJEKT TYPOGRAFICZNY I SKŁAD: Tomasz
Pawluczuk

DRUK I OPRAWA: Zakład Poligraficzny Sindruk

© Tibor Babiczky

© for the Polish translation by Anna Butrym

© for the English translation by Peter Sherwood

Instytut Kultury Miejskiej

Długi Targ 39/40

80-830 Gdańsk

www.ikm.gda.pl

www.europejskipoetawolnosci.pl

www.versopolis.com



GDĄŃSK



instytut
kultury
miejskiej



VERSOPOLIS
where
poetry
lives



With the support of the
Creative Europe Programme
of the European Union

Projekt realizowany przy wsparciu Unii Europejskiej w ramach Programu Kreatywna Europa. Niniejsza publikacja wyraża wyłącznie poglądy i opinie jej autora, Komisja nie może zostać pociągnięta do odpowiedzialności za jakiegokolwiek użycie informacji w niej zawartych.

ISBN: 978-83-66003-86-6

Versopolis to założona w grudniu 2014 roku platforma literacka poświęcona poezji. Jej celem jest wspieranie młodych europejskich twórców i promocja ich dorobku poza granicami ojczystych krajów. W skład platformy wchodzi 30 festiwali literackich, w tym Międzynarodowy Festiwal Literatury Europejski Poeta Wolności, organizowany przez Instytut Kultury Miejskiej w Gdańsku.

www.versopolis-poetry.com

INSTYTUT KULTURY MIEJSKIEJ
GDAŃSK 2021

Tibor Babiczky
Iwan Christow
Danae Sioziou
Nada Topić



VERSOPOLIS

ISBN: 978-83-66003-86-6